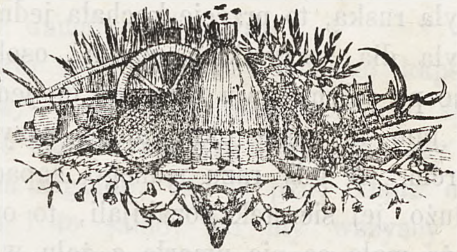
Tom IX. Nr. 14.

11. Listopada 1863.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdeg miesiąca.

Kosztuje rocznie przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święta Salomea.

Jużto temu dobre 650 roczków, jak żył król polski Kazimierz II, a byłci to król dobry, miłosierny i uczynny, i tak pobożny, że go lubił Ojciec święty i w całym świecie nazywano go Sprawiedliwym. Miał on dwóch synów: jeden starszy zwał się trochę z niemiecka Konrad, i siedział sobie na połówce ojcowizny tam, gdzie dziś stoi nasza Warszawa, a drugi młodszy miał na imię Leszek, i nazwali go Polacy Białym, bo nosił włosy długie i jak len białe, a siedział sobie w naszym ukochanym Krakowie. Obaj bracia kochali się serdecznie, pożenili się ładnie, i byli pobożnymi i dbali o wiarę świętą katolicką. Konrad sprowadził Krzyżaków do nawracania pogan, a Leszek Biały gospodarował w Krakowie, i bronił kraj swój od Niemców i Tatarów. Dałci mu Bóg bardzo dobrą żonę z Rusi Grzymisławę, która była pobożną, cichą, zgodliwą i miłosierną królową; onato pogodziła Rusinów z Polakami, aby się nie gryźli i nietrapili wojnami i trzymali z Polakami jako braćmi swymi, a nie słuchali Tatarów; ona

dostała od ojca swego wiano bogate, bo kraj ruski het za Lwowem, co to zwał się Ziemią Halicką, a choć mieszkała w Krakowie i była ruską, to przecie kochała jednako i Polaków i Rusinów i była dla wszystkich matką, osobliwie kochała sieroty, kazała je po całym kraju zbierać i do jednego klasztoru przyprowadzać, tam je sama okrywała i uczyła o Bogu i o wszystkiem dobrem. A gdy razu jednego napadli Tatarzy na ten klasztor i dużo jej sierotek pozabijali, to ona tąk płakała i lamentowała, że mało co nie umarła z żalu wielkiego.

Za takie dobre uczynki dał jej Bóg dwoje bardzo dobrych dzieci: córeczkę Salusię i syna Bolcia.

Salusia była o 7 lat starszą od Bolcia królewica, a pobożna matka Grzymisława tak je wychowywała za młodu, że te dwoje dzieci zostały potem oboje świętemi. Król Leszek pilnował kraju i wojny i sądził sprawy sprawiedliwie, a królowa Grzymisława wychowywała sieroty i swoje dziatki własne, i pamiętała o ubogich i chorych, fundowała szkoły, szpitale, klasztory.

Choć matka Salusi była bogatą królową, to ona sama uczyła swoje dzieci pacierza św. i odmawiała razem z niemi na kolanach, uczyła sama na xiążce dzieci, a małej Salusi gadała zawsze:

— O moje dziecko! Nie pysznij się przenigdy z tego, że masz ojca króla i matkę bogatą, i że na ciebie spada wiano takie jak Ziemia Halicka, bo grunt, majątek i pracę daje Bóg na to, aby wiele dobrego zrobić za życia, ale nie dla pychy naszej. Majątek to łaska boska, i tak długo mamy go na dobre obracać, jak długo tu żyjemy — a kto to marnuje i na zbytki i grzechy przeróżne obraca, ten ma śmiertelny grzech! Po śmierci musi król, pan i chłop zdać rachunek z każdego ziarneczka i z każdej okruszynki, gdzie się podziały, tak samo i z każdego grosza musi się każdy porachować, na co go obrócił. Obracaj na chwałę bożą i na zbawienie ludzi to, co ci Bóg udzieli kiedy!

A Salusia młodziutka słuchała tej nauki i nigdy się nie pysznila ani z rodu, ani majątku, nie wynosiła się nigdy nad drugie biedne dzieci, co do matki z całego kraju przychodziły,

choć były nieraz odarte, omurcąne, choć nie umiały tego wszystkiego, co ona sama umiała.

Ona sobie dumała tak zawsze:

— Czy kto w złocie, czy ubogiej kapocie, czy siedzi we dworze, czy w glinianej komorze, czy żyje o mięsie i miodzie, czy o chlebie suchym i wodzie, czy jest na tronie, czy gazduje na zagonie, czy to pan, xiądz czy chłop, to to u Boga jedno i to samo, bo my wszyscy ludzie jednako stworzeni, mamy życie rozmaite na świecie bożym, a potem jednaki grób w ziemi świętej i jeden sąd u Boga i jedno zbawienie. Nic nas na świecie nie powinno różnić, jeno zasługa i dobre uczynki.

A gdy to Salusia opowiadała swej matce królowej o czemto ona dumała sobie, to matka ją głaskała po główce, przyciskała do serca i mówiła z płaczem:

— O tak! tak! moja perełko! tak być powinno, bo nas tak nauczył sam Pan Jezus! Pany, xięża i chłopy, to dzieci boże, na tej samej ziemi, w jednakim kościele, choć mają inne mieszkania i ubrania, to za to mają jednakie ciało z gliny i jednakie dusze od Boga i mają się starać razem i w zgodzie o jednakie szczęście za życia i o niebo po śmierci; a choć mają niejednakie rozumy i niejednakie nauki, to mają jednaką naukę od Pana Jezusa i tej się wszyscy rękami i nogami trzymać powinni, a głupsi mają słuchać mądrych, a wszyscy mają słuchać najpierw Boga, robić razem do jednego, co Bóg każe. Ty moje dziecko bądź zawsze dobrą i miłosierną.

To też bieżała Salusia z matką do każdej ubogiej chałupki, gdzie były wdowy, sierotki albo dziady jakie, niosła po kieszonkach pieniądze, lekarstwo dla chorych, w zawiniątkach zaś posilenie jakie dla głodnych, a gdy jej już nie stało nic, to z płaczem mówiła:

— Moja mamo! już nie mam nic przy sobie!

A matka królowa cieszyła ją tak:

— Nie płasz dziecino! jutro tu znowu przyjdziemy, a ty się nie wstydaj między drugiemi coś dobrego zrobić, a jeślibyś nie mogła zaraz, to miej zawsze serce miłosierne, łezkę w oczach i westchnij też do Boga za każdym biedakiem, a pamiętaj

zawsze o tych, co są najbliżej twego domu i co są z tobą w jednym kraju. A szanuj zawsze każdego starszego, choćby był najbiedniejszym.

To też młoda Salusia szanowała najpierw ojca i matkę, potem wszystkich starszych, robiła sobie cichutko i prędko w domu wszystko dobrze, modliła się zawsze po robocie, chodziła z matką do kościoła, dawała jałmużnę przy kościele i na drodze każdemu dziadkowi, nie wstydała się ubogiego, dla wszystkich była tak dobrą, że ludzie gadali:

— O! z tej panienki będzie kiedyś pociecha i chwała dla Boga i dla ludzi!

A był także w domu jej młodszy braciszek Bolcio, z nim żyła Salusia jako starsza i rozumniejsza zawsze zgodnie, nigdy mu na złość nie robiła, nigdy go nie przezywała, razem z nim przy łóżeczku paciorek mówiła, do kościoła go za rączkę prowadziła i gadała mu to wszystko dobre, co sama kiedy od swej matki się nauczyła.

I tak żyła sobie pobożnie i pięknie w pałacu krakowskim i świeciła tam swoją dobrocią jak gwiazdka na niebie, a wszyscy Krakowianie i het daleko po za Kraków wychwalali ją z jej miłosierdzia i pobożności i dziwił się wtedy niejeden mówiąc:

— Co to takiego! że to taka młodzieńka ta królewna polska, a ma już na tyle rozumu, że jej wszędzie pełno i każdego poszanuje i z każdym pogada i poradzi i poratuje, i co to dopiero będzie z tego, jak to wyrośnie i zostanie królową i dostanie jakiego króla za męża!

Ani przez myśl nie przezło Polakom wtedy, że Salusia i Bolcio zostaną świętymi i patronami Polski!

Do dobrej studni każdy idzie po wodę, do dobrych ludzi każdy zapuka i szuka ratunku, tak też i dobrą dziweczkę każdy dobry chłopiec chciałby brać za żonę. I o Salusię polską starał się nie jeden królewic, a najbardziej zaś syn króla węgierskiego. Król węgierski Jędrzej miał syna Kolomana i tego chciał dobrze ożenić; posłał też swaty do krakowa, którzy stanęli przed ojcami Salusi i mówili:

— Pobożni ojcowie i królowie! dał wam tu Bóg dorodną i świątobliwą córkę, ma ona i wiano bogate, bo pono Halicka

ziemia po matce na nią spadnie, otóż nasz królewic Koloman szuka takiej żony, aby była dobrą i miłosierną, i miała też i wiano jakie i musi tu być w Polsce dobry lud, bo wszędzie po drodze widzieliśmy porządek i stodoły i gumna pełne i ogrody i lasy i rybne stawy i gościnę taką, jakiej nie ma na całym świecie; widać więc, jaka nać, taka mać — jaki lud, taki król, jaki pan, taki kram.

A ojcowie Salusi odpowiedzieli na to:

— Dziękując Bogu najwyższemu dobrze nam tu wszystkim w polskim kraju i błogosławi nam tu Bóg we wszystkiem, a naszą córkę Salusię damy chętnie za waszego królewica Kolomana, damy mu całą Halicką ziemię i dopomożemy, aby tam była obrona jaka przeciw tym Tatarom, co to idą i idą tam zkądsić od Wschodu i już pono zawojowali całe kraje, a teraz pchają się do Polski i do Węgier i chcą to zrabować; a tak wasz król i ja bronilibyśmy się przed Tatarami razem, jeno mybyśmy chcieli, aby o tem wiedział i Ojciec święty, aby on sam pobłogosławił nasze dzieci i koronował na królów Halickich. A posły z Węgier przystali na to i odeszli z tem do swego króla. I stało się tak wszyściutko dobrze; było wesele w Krakowie, Ojciec święty przysłał błogosławieństwo, biskup Krakowski święty Wincenty Kadłubek, co to został takim z chłopskiego stanu, dawał ślub Salusi i Kolomanowi, a potem zabrali się wszyscy z Krakowa do miasta Halicza na koronacyą Salusi na królowę Halicką, gdzie koronował ją arcybiskup węgierski koroną od Ojca świętego, gdzie był król Leszek Biały i królowa Grzymisława i król węgierski i święty Wincenty Kadłubek i pany i xięża i chłopy i wszyscy się radowali z tego. I została Salusia królową Halicką i siedziała sobie w mieście Haliczu za naszym Lwowem i była bogatą i młodzieńką jak lilia polna, boć wtedy miała ona dopiero jakie 13 lat, jak jej dał Bóg koronę ziemską za jej miłosierne serce i za dobre uczynki.

Ale była ona dla Rusinów i Polaków matką królową, boć sobie gadała słowa samego Pana Jezusa:

— Komu więcej dano, od tego będzie więcej żądano tak za życia jak i na sądzie Bożym.

A choć się wydała za mąż, to pozostała zawsze czystą i niewinną panną, bo sobie wyprosiła u swego męża Kolomana, aby mogła żyć zawsze w panieńskiej czystości. Ale i najpobożniejszego dotyka Bóg różnemi krzyżykami, aby wypróbować ich serce i wolę, czy też oni naprawdę są dobrymi. Tak też i Salusię królowę dotknął Bóg dorazu utrapieniem wielkiem, boć nie długo potem zabił jej ojca Leszka króla zdradliwie w Gąsowie niejaki Świętopełk, starosta pomorski i to za to, że mu dał król taki urząd, a on chciał sam być królem; potemu umarła matka królowa, Grzymisława święta, a potem znowu zabili Rusini jej męża Kolomana, z którym żyła Salusia jeno 3 lat w Haliczu, i to dla tego, że nie chcieli mieć Węgra za króla — i tak porzuciła Salusia Halicz, do Krakowa nie było po co iść, bo tam nie żyli już jej ojcowie, a o małego braciszka jej, Bolcia, który miał dopiero 7 lat i został sierotą biedną, kłócili się dwaj strykowie i każdy chciał być opiekunem jego, aby się zbogacić. W tem utrapieniu wielkiem poradziła ona sobie, bo sobie tak ułożyła zrobić:

— Ja sama na świecie, pójdę do klasztoru i zostanę zakonnicą i będę tam Bogu służyć, a mój cały majątek rozdam na ubogich, koronę odeszlę Ojcu świętemu z podziękowaniem, a mego braciszka weźmie w opiekę stryjenka, święta Jadwiga do Wrocławia, i tam go wychowa na chwałę Bogu i Polakom wszystkim.

I tak też zrobiła! sama poszła do klasztoru w Zawichoście, niedaleko Sandomierza nad Wisłą i tam była zakonnicą świętej Klary jakie 20 lat, tam się modliła, tam o sierotach pamiętała i uczyła sama, tam chorym i biedakom była matką i znowu dał jej Bóg pociechę, bo braciszek jej Bolcio urosł i wychował się u świętej Jadwigi na pobożnego króla i został królem polskim i siedział w Krakowie, a potem ożenił się z Kunegundą, co to została świętą. I było szczęście w polskim kraju i bogactwo z soli, którą święta Kunegunda odkryła w Bochni, a Salusia cieszyła się z tego, że miała stryka Henryka i stryjenkę Jadwigę we Wrocławiu, co oboje potem zostali świętymi; że miała brata i bratowę w Krakowie królami, co także oboje zostali świętymi, to jest: Bolesław święty Wsty-

dliwy i święta Kunegunda; cieszyła się, że nawet między mieszczanami, xiężami i chłopami było wiele takich, co potem zostali świętymi.

Ale znowu zesłał Bóg nowe utrapienie na całą Polskę, bo Tatarzy wpadli do polskich krajów i palili i rabowali co się jeno nadało; byłoto roku 1242, i wtedyto zrabowali Zawichost, Sandomirz, Kraków, Wrocław i szli także na Węgry. Salusia ledwo żywa uciekła do Krakowa do brata króla Bolesława, a z nim uciekła aż w góry węgierskie i wtedyto fundowała tam w górach klasztor w Sączu święta Kunegunda, gdzie z nią siedziała i Salusia, dopóki Tatarzy nie odeszli z Polski.

Nie było po co wracać do Zawichostu, bo był zburzony i nie było tam dla zakonnic pewnego życia, to też Salusia prosiła brata króla, aby jej wyfundował taki sam klasztor, jaki był w Zawichoście i w starym Sączu, i mówiła mu:

— Jam sobie upatrzyła dobre miejsce na klasztor niedaleko Krakowa, bliziutko Ojcowa i Skały Piaskowej, tam są góry, lasy i skały i tam będzie dobrze dla zakonnic, otóż wyfunduj mi tam braciszku taki klasztor, jakiś fundował dla mnie i w Zawichoście, a ja tam chcę życie zakończyć.

I wyfundował jej klasztor król Bolesław Wstydliwy na górze wysokiej, w Grodzisku, między lasami i kamieniami, gdzie Salusia poszła i tam sobie urządziła zakon świętej Klary, jaki był w starym Sączu i tam przeszło 20 lat przeżyła w cichości i modlitwie. Przeżyła potem drugi napad Tatarów, a góry i skały Ojcowa stały się dla Polaków wszystkich tak drogiemi dla tego, że święta Salomea tam żyła, tamtędy chodziła i tam za Polakami się modliła i tam miłosierdziem swojem tyle ludzi do siebie ściągała, że odtąd niejedna wieś początek tam swój wzięła. To też tam umarła święta Salomea roku 1268, przeżywszy w pobożności wielkiej 58 lat życia i wysłużyła sobie dwie korony ziemskie, to jest: Polską i Halicką, a w końcu niebieską!

Prośmy ją teraz, aby się modliła za nami!...

O święta patronko! tyś przeżyła Tatarów napady na polski kraj, tyś doznała za życia tyle utrapienia, módl się tam w Niebie za nami, aby dopomógł Bóg braciom naszym zwyciężyć wrogów

Moskali, co ich trapią dziś bardziej niż dawniej Tatarzy, i aby nam dał Bóg tyle pobożnych i dobrych panów, xięży i chłopów, ile ich było za twego życia w polskim kraju!...

X. Wojciech z Medyki.

Napad.

Rozedniało w duszy
Zatrwożonej Kasi:
A wszakżeć to nasi!
Wszak jadą Krakusy!

Sierżant:

Malino! kochanie!
Kto ciebie dostanie?

Kasia:

Oj nikt nie dostanie
Mój cacany panie!

Sierżant:

A to znow dlaczego?

Kasia:

Bo mam już mojego.

Sierżant:

Gdzież on? moje zdrowie!

Kasia:

Tam gdzie i panowie.

Sierżant:

Jakto? on na wojnie?

Kasia:

A czyżby spokojnie
Miał skryć się do dziury,
Kiedy inni żyją,
Kiedy inni biją?
Zkądże to jedziecie
Kiedy wej nie wiecie,
Gdzie dzisiaj Mazury!

Sierżant:

Nie gniewaj się mała!
Bo powiem ci szczerze,
Że prawie nie wierzę
Żebyś męża miała;
Boś mi taka młoda...
A co! zgoda?

Kasia:

Zgoda!

Sierżant:

No! to twoje szczęście,
Żeś łatwa do zgody!
Bo by i zamęście
Nie strzegło przygody —
Ach, jak w Boga wierzę,
Chciałem zsiąść z rumaka,
I za karę szczerze
Dać tobie buziaka.

Kasia:

Co panu buziaki?
We dworze za rzeką,
Ot, ztąd niedaleko
Rabują kozaki.
Sama pani w domu,
Sama i to młoda,
A szkoda jej, szkoda!
Bronić nie ma komu,
Bo mąż jej w Warszawie,
A to państwo nasze!
Toć tam pospiesz wasze!
Złapiesz ich na sprawie;

Was wprawdzie nie wiele,
Ale tylko śmiele,
Wszakcito kozacy
A wy dyć Polacy!
Rzekła - poskoczyli
I dwór otoczyli.

W dworze brzękło, jękło,
Sześć Kozaków padło,
A dwóch się wykradło,
A resztę uklękło.

Z Pieśni Janusza.

Stach wędrowiec.

(Dokończenie.)

— Sprobujemy — mówił Bartosz, udając niby spokój i odwagę, gdy rzeczywiście zbladł był od strachu.

— Tfe, nie bójcie się gospodarzu! nie taki to straszny ten djabeł jak go malują, przekonacie się sami.

— Ja się nie boję — ale co to ma być, co wy chcecie robić?

— Zobaczycie, a tymczasem kładźcie się spać na ławę, kiedy będzie czas, zbudzicie się sami, lub ja was zbudzę — świeczka niech się pali na stole.

Położył się Bartosz na ławę, i różne myśli poczęły mu się krzyżować po głowie: z jednej strony zdawało się jemu że to wszystko na darmo, że musi opuszczać swoje obejście, że z porady podróżnego naraża życie swoje na niebezpieczeństwo, z drugiej znowu strony mówiło mu coś w sercu: Miej nadzieję! i mimo obawy i różnych myśli miał przecie nadzieję; położywszy się na ławę nie myślał on wcale o spaniu, ale uczynił to tylko z nakazu podróżnego.

— Zachowujcie się cicho — rzekł podróżny — a ja muszę wyjść z chaty i czekać przywitania z waszym gościem — tylko powiedźcie mi, gdzie stoi drabina i gdzie mogę znaleść choć ze dwa okłoty słomy.

— Zaraz przyniosę — rzekł Bartosz, zrywając się z ławy.

— Nie ruszajcie się — ja sam potrafię to zrobić, tylko mi powiedzcie, gdzie mogę wyszukać.

— Za chatą zaraz znajdziecie i jedno i drugie.

Na te słowa wyszedł podróżny z chaty i udał się na to miejsce gdzie mu Bartosz wskazał, ażeby przynieść słomę i drabinę, jakoż w chwili było to już wszystko w sieni, a nasz podróżny zaczął tutaj zaraz swoją robotę: nasamprzód rozścielił słomę na ziemi, a potem przyłożył drabinę do strychu, po której wylazł aż na strych, i tutaj z kraju usiadł sobie tak, że siedział na powale, a nogami oparł się o szczeble drabiny, a trzymając gruby swój kostur w ręku, czekał na powitanie tego djabła, który prawdziwie po djabelsku usiłował wygonić poczciwych Bartoszów z ich ojcowizny.

Jakoż nie długo czekał na to powitanie; wkrótce przytarabanił się przez komin rzeczony djabeł na strych, i zaczął płatać swoje zwykłe sztuki, zrazu ciszej, potem głośniej począł stukać — tłumić się jak istny Marek po piekle — nakoniec piszczeć, zawodzić wilczym głosem i Bóg wie co jeszcze nie czynić; Bartosz usłyszawszy to w chacie, aż się zatrząsł ze strachu i począł biedak blednąć jak chusta; podróżny zaś jak tylko usłyszał że coś przez komin włazi — położył się na strychu i leżał spokojnie czekając, aż djabeł sam nie wpadnie mu w ręce; — owoż nie długo czekał, bo ten tłumiąc się po całym strychu, wlazł wreszcie i na niego, tak że podróżny mógł go schwycić silnemi rękami za nogi, schwyciwszy go nie namyślał się długo, jeno hepnął nim na dół do sieni, właśnie w to miejsce, gdzie był słomę rozścielił umyślnie dla tego, ażeby schwytany nie połamał sobie kości.

Z wielkim łoskotem spadł mniemany djabeł na dół, a równocześnie powstał wielki krzyk: zawodził bowiem nie swoim głosem strącony przez podróżnego djabeł i biedny Bartosz w chacie począł równocześnie ze strachu krzyczeć; podróżny zaś zlazł co prędzej z drabiny na dół, ujął silnie za rękę leżącego bez pamięci na słomie, i donośnym głosem zawołał na Bartosza:

— Pójdźcie tu ze świecą.

Ale Bartosz przestraszony bał się wyjść zrazu, potem zaś kiedy go zapewnił, iż niema się bać czego, nie bez wahania wyszedł z izby, otworzył drzwi, ale mimo że niósł świeczkę w ręku, ciemno mu było w oczach, i jakby przez mgłę tylko

widział coś czarnego z rogami leżącego na ziemi, a na nim siedzącego podróżnego.

— Ha, łotrze, złodzieju! mam cię! — wołał podróżny.

— Gwalt, zbój! — krzyczał rogacz powalony, przychodząc pomału ze strachu do siebie.

— Gwałtu! — krzyknął i Bartosz ze strachu, nie będąc jeszcze pewnym, czy nie jest to rzeczywisty djabeł.

— Cóż u pioruna — zawołał podróżny rozgniewany do Bartosza — krzyczycie gwałtu — zajrzyjcie mu w twarz, a przekonacie się, że nie żaden djabeł.

— To Fryc dla Boga! — zawołał Bartosz, ale dlaczego ma on skórę byczą na sobie?

— Zróć skórę — krzyknął podróżny, bo jak zacznę cię okładać kijem, to nie zajdziesz do domu.

— *Gut!*... zaraz! — mówił Fryc kłapiąc zębami, i w tej chwili zrzucił z siebie czarną byczą skórę, w którą się zawsze przyodziewał, kiedy szedł straszyć Bartoszów.

— To Fryc! dalibóg to Fryc! — mówił Bartosz poznawszy go dobrze.

— Więc to ten sąsiad wasz z obu stron, któremuście klinem wleźli, i dlatego was straszył, ażeby wasze mienie wam zagrabił. Ha, łotrze, złodzieju, tak to ty się wypłacasz za gościnność, za tę ziemię, która cię żywi, a po której nie godzień jesteś stąpać? więc za te dobrodziejstwa chcesz jeszcze pozbawiać naszych kmieci mienia, wypędzać ich z pod rodzinnej strzechy, korzystając z zabobonności?! ha, łotrze, zawłoko!

„Wara! nie leźć w ogród cudzy,
Bo połamiem kości!“

— Gwalt! gwalt! — krzyczał Niemiec blady jak chusta, łamać nóg! ja mam dzieci — *majne Lize! Francl!*...

— Aby cię djabeł wziął! — krzyknął wreszcie Bartosz, nie mogąc pomieścić w swojej głowie tak wyrachowane łotrowstwo.

— Gwalt! nogi!... ja mam *slabi nóg*, jak raz uderzycie, to odpadną — gwalt! darujcie *nóg!*

— Na nogi twoje podły łotrze — rzekł Bartosz — nikt się nie łakomi, ale za krzywdy, któreś nam wyrządził, dostaniesz twoje.

— Że ci plecy trzeszczeć będą! — dodał podróżny.

— Darujcie, darujcie! — błagał Fryc, padając obóm do nóg — już i na *wnuk* mój mówić będę, żeby sobie z Polak nie zaczynał.

— Dla takich łotrów niemasz przebaczenia! dostaniesz po cesarsku dwadzieścia pięć odlewanych!

Na te słowa zbladł Fryc jeszcze bardziej i aż czkawkę dostał od wielkiego strachu, ale to wszystko nic mu nie pomogło; podróżny ujął go silnie ręką, położył na ławie, a Bartosz zaczął bić.

— Daruj sąsiad! gwalt! gwalt! — zawodził on pod kijami w niebo głosy tak silnie, że aż Bartoszowa się przebudziła i wraz z Jonkiem wbiegła do chaty; właśnie wtedy, kiedy oni przyszli, skończył Bartosz swój obrachunek z Frycem; niemiec wstawszy uciekł co tchu z chaty Bartoszowej, krzycząc bez pamięci i opamiętania, a w strachu zostawił nawet swoję czapkę i byczą skórę, w którą się za djabła przybierał.

— Jezus, Maryja! — zawołała zdziwiona kobieta — a to co takiego — to Fryc!

Jakoż podróżny opowiedział o wszystkiem Bartoszom obszernie jak on obmyślił wprzódy sposób schwycić mniemanego djabła, jak potem rzucił z strychu na słomę, a Bartosz dokończył opowiadanie mówiąc o słusznej karze, jaka Fryca spotkała. słowem cała rzecz się teraz wyjaśniła, a wszyscy poznali, że to nie kto inny jeno Fryc udając djabła, straszył ich ażeby tem łatwiej nabyć ojcowiznę Bartoszową, na którą zaostrzył zęby, a którą za nic w świecie Bartosz by mu nie sprzedał.

Kiedy to się skończyło, nie posiadali się wszyscy z radości, więc też jak przystało, klękli przed cudownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Polskiej, który wisiał na ścianie i poczęli się modlić w te słowa:

— Boże najlitościwszy i Ty Matko nasza, dziękujemy Wam za łaskę cudowną, że nam naszą ojcowiznę wracacie i niedozwalącie kosztować gorzkiego chleba na tułactwie bez chaty.

I modlili się jeszcze długo i szczerze, a z wdzięczności łza im oko zalała, potem zaś wstawszy od modlitwy zbliżyli się do podróżnego i poczęli mu najserdeczniej dziękować.

— Dziękuję ci całem sercem — mówił Bartosz, żeś nam oddał ojcowiznę, żeś nas wrócił tej chacie twoim rozumem za Boską pomocą. Kto jesteś nie wiemy, ale to wiemy, żeś jak prawdziwy anioł Boży wszedł do naszej chaty, ażeby do niej wnieść szczęście na wieki.

— Nie jestem ja ci żaden anioł Boży — rzekł podróżny, ale człowiek, katolik, Polak tak jak i wy moi mili, z dalekiej strony idę ażeby....

— Więc wy idziecie.... rzekł Bartosz.

— Tak, dobry gospodarzu — mówił podrożny.

— I że wy mieli tyle odwagi — odezwała się Jagna, która z uciechy i radości oniemiała prawie.

— Dobrzyście — odrzekł obcy uśmiechając się — idę na niedźwiedzia, a nie dałbym sobie rady z tym bykiem.

— Szczęść wam Boże! mówili wszyscy, niech Bóg litości strzeże was, ażeby wam nawet włos z głowy nie spadł — wyście nas uszczęśliwili — a sami nie wiemy jak wam za to dziękować.

— Nie potrzebuję ja podzięki, uczyniłem to, co mi sumienie uczynić nakazywało, a jedyną dla mnie podzięką będzie to, jeżeli sobie ztąd piękną wyciągniecie naukę na przyszłość i brzydzić się będziecie nadal zabobonami i przesądami, a czasem też wspomnicie sobie na Stacha wędrowca, który jak żóraw ciągnie tam, gdzie go bracia wołają.

— Do śmierci pamiętać was będziemy, poczciwy Stachu!

* *

*

Noc była śliczna, letnia noc, choć trochę ciemna, gwiazdki srebrzyste cudownie migotały nad głowami trzech wędrowców, którzy jakby wiatrem gnani zdążali do Rudy Rożanieckiej.

— Wędrowcy moi, czy wam tak pilno, że lecicie jako sokoły pośród cichej nocy?

— Oj pilno im — pilno — zdały się odpowiadać szumem sosnowe bory, których wierzchołki lekki wietrzyk umorzył.

To też mimo piasku szli wszyscy trzej szparkim krokiem, że za nimi aż się piasek kurzył.

Czy wiecie kto są ci wędrowcy?

To Bartosz z Jonkiem odprowadzają Stacha! Przez całą drogę gwarzą oni pomiędzy sobą, a najbardziej Stach opowiada im rzeczy, których obaj z otwartą gębą i z otwartem sercem słuchają. Wśród takiej pogadanki szybko czas im zbiegał, i ani się spostrzegli kiedy się już zobaczyli w Rudzie.

— To już Ruda — rzekł Bartosz.

— Więc tu się już pożegnamy, może i na wieki, a może Bóg mi jeszcze dozwoli oglądać was dobrzy i poczciwi ludzie.

— Szkoda, żem nie starszy — mówił Jonek ze łzami przy pożegnaniu.

Pożegnali się więc czule i serdecznie pomiędzy soba, a każdy poszedł w swoją stronę.

Od teraz szczęściło się we wszystkiem poczciwym Bartoszom, nawet Jagna zaprzestała jakby jakim cudem gderać i kłócić się, a nikt by w niej teraz nie poznał dawną swarliwą kobietę, — toć cieszy się Bartosz wielce z tej racyi, a Bóg szczęści im w dwójnasób.

Historya o Frycu rozeszła się nietylko po siole, ale nawet w całej okolicy o tem mówiono, a wszyscy śmiejąc się serdecznie żałowali tylko, że mu się jeszcze lepiej nie okroiło, chociaż prawdę powiedziawszy, dostał on tęgich bizunów i coś przez cały miesiąc ledwo się wylizał z siniaków.

Jeżeli Bóg pozwoli spiszę ja wam znowu kiedyś dalszą historyę Stacha, a będzie to — niechwaląc się — bardzo ciekawa historya; teraz zaś poleca was Bogu wasz brat

Grzela z Waszkowiec.

Co to jest przemysł?

— A juzci jakieś nowości — powie niejeden — bo ta o tem ani tatuś ani dziadek nic nie powiadali, więc ta i na licho zda się ono.

Że przemysł jest nowiną na licho, to gadanina po próżnicy, że tatuś i dziadek o tem nic powiadali, to jeszcze nie racya aby się ono na nic nie zdało. Ale najlepiej posłuchajcie co to jest przemysł, a sami powiecie co to warte.

Oto moi mili przemysł jest w tem, aby umieć z każdej rzeczy korzystać, aby nic nie marnować na darmo. Ot dajmy na to, gospodarz zabija na święta owcę czy barana. Więc jużci mięso nie wyrzuci, ale schowa do jedzenia; krwi nie zepsuje, bo wie że i coś warte: skóra jużcić na kożuch — a zresztą co?

— Ba a jakażta reszta? — zapytacie.

— Oto kości, flaki i insze.

— No to dla psa — mówicie — bo i na cóż innego?

— Na co? a toć wam zaraz powiem. Rzucicie psu kości i flaki, więc ta co nieco pożre, a resztę rozrzuci ta zponiewiera. Zamiast tego i dla psa znajdzie się jedzenie insze i tańsze, boć kości i flaki to nie taka rzecz marna. Owcze flaki toć to na strόny, a strόny do skrzypek i do basetli, a już każdy wie na co się one zdadzą. Znowu kości a toć już rozpisałem się w dawniejszych Dzwonkach nie mało, jaki z nich pożytek, więc przeczytajcie tam kto ciekawy.

Otóż to jest przemysł.

Więc znowu inszy przykład. U szewca czego huk? — odrzynków ze skóry. A wiecie jak przemysł potrafi zużytkować takie odrzynki? Oto z większych robią guziki, a mniejsze dają farbę. — Znowuż u stolarza heblowin mnóstwo, a i te nie idą marnie. Zbierają je w beczki, nalewają wódką, a wódka przecieka i robi się z niej ocet. — A z łachmanów różnych, płatków i takiego śmiecia, to co wyrabiają? Oto moi mili ten piękny i białuśki papier, na którym wam Dzwonek drukujemy i insze xiążki.

Tak moi mili dzieje się za granicą. U nas to jeszcze na takie rzeczy nie bardzo uważają ludzie, i co się ta od razu zjeść lub inaczej zużytkować nie da, to na śmiecie z tem i jużcić. Źle to źle. Gdyby inaczej było, gdyby każdy umiał najdrobniejszą rzecz zużytkować, więc by ta i biedoty mniej

było, i marnowania mniej. Z czasem do tego pewnie przyjdzie, a tymczasem warto o tem pomyśleć i warto zapamiętać sobie owe dwa wierszyki, które powiadają:

Przemysł i praca
Tylko zbogaca.

RÓŻNOŚCI.

Nabożeństwo żałobne. We wsi Milówce niedaleko Żywca urządzili tameczni włościanie „żałobne nabożeństwo za wszystkich poległych i pomordowanych polskich wojowników.“ Kazali oni także wydrukować sobie takie kartki, gdzie było o tem nabożeństwie wypisano, iż się ono tego dnia odbędzie, i że na to nabożeństwo zapraszają wszystkich Nabożeństwo odbyło się bardzo pięknie i z wielką pobożnością. Zaś niezawadzi donieść, iż nabożeństwa takie odprawiają gospodarze wiejscy także po innych wsiach, jeno że o wszystkich dokumentnie nie wiemy, bo nam do Dzwonka o tem nie donoszą, co jest szkoda, i prosimy aby zawsze nam kto napisał o każdem takiem nabożeństwie.

Jubileusz. Już wam pisałem niedawno moi mili o jubileuszu, który Ojciec święty kazał odprawić w Rzymie za Polskę, aby ją pan Bóg wybawił od złości i okrucieństwa moskiewskiego. Taki sam jubileusz odprawiono także w całym kraju francuzkim, gdzie wszyscy bardzo gorąco modlili się za Polską. Zaś i u nas będzie się ono odprawiać, jak skoro przyjdzie pozwolenie od rządu, i zaraz ogłoszą nasi biskupi owo nabożeństwo jubileuszowe, i w caluteńkim kraju będzie się ono odprawiać.

Pożary. Dziwna rzecz, ile to corocznie nieszczęścia bywa od ognia. Żeby tak o każdym pożarze wypisywać, toby pewnikiem miejsca w Dzwonku nie stało na insze pisanie; zaś i tak zawsze jest dosyć o znaczniejszych pożarach. Otóż o tych jeszcze nie pisaliśmy. Dnia 8 września spaliło się z całem gospodarstwem i dobytkiem aż ośmioro gospodarzów w Zdrocku w powiecie Zaszowskim; dnia 6 października zgorzało w Radomyślu pięć domów; dnia 9 października w miasteczku Dąbrowej spaliło się 6 domów ze wszystkiemi budynkami gospodarskiemi; znowu 12 października był ogień w Woli Rzędzińskiej w powiecie Tarnowskim, i spaliło się 6 domów z budynkami a także 4 sztuki bydła; tegoż samego dnia zniszczył ogień w Gruszowie Wielkim w powiecie Dąbrowskim dom jeden i stajnie; zaś 12 października był pożar w Mszanie w powiecie Skrzydlnieńskim, i spalił cztery gospodarstwa. Naostatek w Starej wsi, w powiecie Grzybowskim wybuchł także ogień przez nieostrożność służącej, i udusiła się od dymu owa służąca, chociaż ogień uduszono.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**